



# KURT VONNEGUT

LISTY

Opracowanie i wstęp  
Dan Wakefield

## O książce

RÓWNIE OSOBISTE, BŁYSKOTLIWE,  
ZABAWNEI ROZBRAJAJĄCO WNIKLIWE  
JAK „RZEŻNIA NR 5”, „ŚNIADANIE MISTRZÓW”  
I INNE UTWORY KURTA VONNEGUTA

Nikt nie opisałby życia Vonneguta tak prawdziwie, jak zrobił to sam w listach do swoich dzieci, przyjaciół, wydawców oraz tych, którzy pragnęli doprowadzić do zakazu publikowania jego utworów.

Lektura Listów wyprowadzi z błędu każdego, kto wyobraża sobie, że życie pisarza może być łatwe – nawet pisarza, który w końcu zdobywa sławę i pieniądze.

# KURT VONNEGUT

## LISTY

Z angielskiego przełożył  
RAFAŁ LISOWSKI



Wydanie elektroniczne

*Tego autora*

**Opowiadania**

ARMAGEDON W RETROSPEKTYWIE

POPATRZ NA PTASZKA

TABAKIERA Z BAGOMBO

GDY ŚMIERTELNICY ŚPIĄ

DOSSIER FRAJERA

**Powieści**

HOKUS POKUS

TRZĘSIENIE CZASU

ŚNIADANIE MISTRZÓW

RZEŻNIA NUMER PIĘĆ

KOCIA KOŁYSKA

MATKA NOC

RECYDYWISTA

PIANOLA

SYRENY Z TYTANA

GALAPAGOS

SINOBRODY

RYSIO SNAJPER

ŚLAPSTICK

NIECH PANA BÓG BŁOGOSŁAWI, PANIE ROSEWATER



Tytuł oryginału:  
KURT VONNEGUT LETTERS

Copyright © The Kurt Vonnegut, Jr. Trust 2012  
This translation published by arrangement with Delacorte Press, an imprint  
of The Random House Publishing Group, a division of Random House, Inc.  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Rafał Lisowski 2015

Redakcja: Magdalena Hildebrand

Ilustracje: © Kurt Vonnegut and the Origami Express

Zdjęcie na okładce: © Santi Visalli/Getty Images

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-170-6

*Wydawca*  
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.  
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa  
[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego.  
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę,  
która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje,  
że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom  
lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie,  
kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych  
lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Konwersja do formatu ...

...

...

*Książkę tę dedykuję pamięci Kurta Vonneguta,  
pisarza dla całego świata, przyjaciela na całe życie;  
a także Markowi i Barb Vonnegutom  
oraz Donowi i Annie Farberom,  
przyjaciółom, którzy kultywują ducha Kurta*

# Spis treści

Wstęp

LATA CZTERDZIESTE

LATA PIĘCDZIESIĄTE

LATA SZEŚCDZIESIĄTE

LATA SIEDEMDZIESIĄTE

LATA OSIEMDZIESIĄTE

LATA DZIEWIĘCDZIESIĄTE

LATA DWUTYSIĘCZNE

Nota od redaktora i podziękowania

Indeks

## Wstęp

Listy Kurta Vonneguta zebrane w tej książce to historia życia pisarza — pisarza, którego wpływ wciąż jest odczuwalny na całym świecie i wszystko wskazuje na to, że nie zmieni się to jeszcze bardzo długo. Są one równie osobiste, błyskotliwe, zabawne i rozbijająco wnikliwe jak jego dzieła: powieści, opowiadania, artykuły oraz eseje. Nikt nie zdołałby opisać jego życia tak prawdziwie i wnikliwie jak listy, które on sam napisał do swych dzieci, przyjaciół, wydawców, zwolenników w kręgach akademickich, krytyków oraz osób, które pragnęły jego twórczość uczynić zakazaną. Lektura listów pozwoliła mi lepiej poznać mego przyjaciela Kurta Vonneguta i bardziej go docenić. Nic nie przychodziło mu z łatwością. Nic go nie zniechęcało — ani liczni redaktorzy i wydawcy, którzy odrzucali jego teksty; ani Wydział Antropologii Uniwersytetu Chicagowskiego, który odrzucił nie jedną, lecz dwie jego prace magisterskie (dyplom otrzymał dopiero, gdy został sławny); ani Fundacja Guggenheima, która nie przyjęła jego pierwszego wniosku o stypendium; ani powątpiewający krewni i przyjaciele, tacy jak wuj Alex, który powiedział, że nie był w stanie przeczytać *Syren z Tytana*, po tym jak Kurt zadeedykował mu tę książkę, albo ciotka Ella Stewart, która nie zamawiała jego powieści do swej księgarni w Louisville w Kentucky, uznając je za gorszące; ani sąsiedzi z Cape Cod, którzy nie czytali jego książek i nie interesowali się tym, jak zarabia na życie; ani rady szkół, które objęły cenzurą jego książki (a jedna z nich kazała spalić je w piecu), nawet ich nie przeczytawszy; ani akademicy krytycy, którzy odrzucali go i lekceważyli; ani ci, którzy Kurta szkalowali, usiłowali go pognać, gdy stał się sławny; ani biurokraci, z którymi walczył o prawa pisarzy na całym świecie; ani prawicowe grupy chrześcijan potępiające autora, który nazwał Jezusa Chrystusa *największym* i

*najbardziej ludzkim z ludzi*<sup>1</sup>. Lektura tych listów wyprowadzi z błędu każdego, kto wyobraża sobie, że życie pisarza może być łatwe — nawet pisarza, który w końcu zdobywa sławę i pieniądze. I każdemu da inspirację.

. . .

O Kurcie Vonnegucie po raz pierwszy usłyszałem wiosną 1950 roku, w ostatniej klasie szkoły średniej Shortridge w Indianapolis, gdy zdradziłem jednemu z nauczycieli, że chciałbym zostać pisarzem. Zamyślił się, zmarszczył brew, podrapał się po brodzie, pokiwał głową, a po chwili rzekł: „No tak, jednemu chłopcu się udało — nazywa się Vonnegut”. Dowiedziałem się, że „ten chłopak Vonnegut”, który zaczynał w szkolnej gazetce „Echo”, na początku roku opublikował pierwsze opowiadanie w magazynie „Collier’s”. Dla mnie oznaczało to, że zdobył Olimp.

Ani ów nauczyciel, ani nikt inny na całym świecie — z wyjątkiem Jane Marie Cox, ukochanej Kurta z dzieciństwa i koleżanki z klasy, która została jego pierwszą żoną oraz matką pierwszej trójki dzieci — nie wierzył, że Vonnegut zostanie światowej sławy pisarzem, którego dzieła będą przełożone na wszystkie najważniejsze języki. Jego najstarszy syn Mark napisał w swych wspomnieniach zatytułowanych *Just Like Someone Without Mental Illness Only More So*, że w latach zmagania Kurta *moja matka (...) wiedziała, że ojciec będzie sławny i że to wszystko jest tego warte. Wierzyła, że zostanie sławnym pisarzem, bardziej niż on sam.*

Dorastając w Indianapolis w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku, ja, moi przyjaciele oraz nasze rodziny wszyscy znaliśmy nazwisko Vonnegut — przedsiębiorstwo Vonnegut Hardware Company miało centralę w śródmieściu oraz oddziały w różnych częściach miasta. Gdy Kurt chodził do liceum, latem pracował w głównym sklepie u stryjecznego dziadka Franklina Vonneguta: przygotowywał paczki, a przez jakiś czas obsługiwał windę towarową. Później napisał do jednego ze swych wielbicieli z Indianapolis, który również pracował w tym sklepie: *To doświadczenie ukształtowało moje wyobrażenie piekła. Piekło to wieczność spędzona na obsłudze windy w budynku, który ma tylko sześć pięter.* Szanował jednak firmę założoną przez przodków. W *Niedzieli palmowej* stwierdził:

---

<sup>1</sup> K. Vonnegut, *Człowiek bez ojczyzny*, przeł. A. Dambek, Salinas, Gdańsk 2005.

*Podobało mi się to, co sprzedawaliśmy. Wszystko było takie porządne i praktyczne*<sup>1</sup>.

Jako dziecko rozumiałem znaczenie Vonnegutów dla naszego miasta w kategoriach działalności handlowej, ale dopiero znacznie później odkryłem ich ogromny wkład w kulturę. Pradziadek Kurta, Clemens Vonnegut, przyjechał do Indianapolis z Niemiec w 1851 roku i nie tylko założył Vonnegut Hardware Company, lecz również wywarł duży wpływ na życie kulturalne miasta. Powołał do życia Stowarzyszenie Wolnomyślicieli oraz Indianapolis Turngemeinde, centrum kultury niemieckiej i gimnastyki. Później zmieniło ono nazwę na Athenaeum Turners i służyło całej lokalnej społeczności, oferując nie tylko gimnastykę, lecz także teatr, wykłady i muzykę. Dziś ma siedzibę w budynku o nazwie Athenaeum.

Clemens zasiadał w miejskiej radzie szkolnej i został jej przewodniczącym. Był zdecydowanym zwolennikiem publicznej edukacji i dbał o to, by w programie znalazły się literatura klasyczna, historia oraz nauki społeczne. Wierzył również w znaczenie kultury fizycznej. Ćwiczył codziennie bez względu na pogodę: nosił duże kamienie, które odkładał tylko po to, by podciągać się na gałęziach drzew. Nic dziwnego, że Kurt nazywał Clemensa — sceptyka, który przygotował własną mowę pogrzebową — tym spośród przodków, który *najbardziej go oczarował*. Wspomniawszy, że Clemensa opisywano jako *kulturalnego ekscentryka*, Kurt napisał w *Niedzieli palmowej*: *Ja również aspiruję do tego miana*<sup>2</sup>. Zarówno dziadek Kurta, Bernard (który nie lubił *handlu gwoździami*), jak i jego ojciec, Kurt senior, mieli artystyczne aspiracje i zostali liczącymi się w Indianapolis architektami. Bernard Vonnegut, pierwszy licencjonowany architekt w stanie Indiana, wraz ze współnikiem Arthurem Bohnem zaprojektował wiele najważniejszych budynków w mieście, między innymi John Herron Art Museum, liceum Shortridge oraz Athenaeum. W roku śmierci Bernarda jego syn Kurt senior ukończył uczelnię MIT (Massachusetts Institute of Technology) i wrócił do domu, aby podjąć pracę w firmie współnika swego zmarłego ojca.

. . .

W przemowie wygłoszonej w Athenaeum w 1996 roku Kurt

---

<sup>1</sup> K. Vonnegut, *Niedziela palmowa*, przeł. M. Fedyszak, Wydawnictwo Da Capo, Warszawa 1995.

<sup>2</sup> Ibid.

powiedział: *Podzielę się z wami fragmentem historii Indianapolis, który może was zaskoczyć. Ten ważny budynek, zaprojektowany przez mojego dziadka Bernarda Vonneguta, którego nigdy nie poznałem, nie zawsze nosił nazwę Athenaeum. W czasach, gdy nazywał się inaczej, niektórzy ponoć obrzucali fasadę żółtą farbą.*

Pierwotnie gmach nosił miano *Das Deutsche Haus*, ale przemianowano go na fali antyniemieckich nastrojów, które przelały się przez kraj podczas pierwszej wojny światowej. (Dziś w Rathskellar, popularnej restauracji mieszczącej się w budynku, znajduje się Sala Vonneguta z popiersiem pisarza). W czasie wojny na wszystko, co niemieckie, patrzono podejrzliwie i z wrogością. W Indianapolis, które zawdzięczało niemieckim rodzinom znaczną część dziedzictwa kulturalnego, rozwiązano miejską orkiestrę, ponieważ sopranistka była Niemką, restauracje zmieniały w menu nazwę *Sauerkraut* na *kapustę wolności*, a rada szkolna zakazała nauki niemieckiego. *Mniej więcej w tym samym czasie, gdy miały miejsce te numery z farbą — ciągnął Vonnegut — mój ojciec Kurt, który był architektem i współnikiem Bernarda Vonneguta, dostał anonimowy list o treści: „Przestań uczyć dzieci tej szwabskiej mowy”. No to przestał.*

Tak więc jego starsze rodzeństwo, Bernard i Alice, nie słyszeli już w domu niemieckiego, a gdy w 1922 roku przyszedł na świat Kurt, w ogóle nie mówiono w tym języku. Rodzice *postanowili nie zaznajamiać mnie z językiem, literaturą, muzyką i ustnymi podaniami rodzinnymi, które tak kochali moi przodkowie — napisał w Niedzieli palmowej. — W dowód swego patriotyzmu zrobili ze mnie ignoranta i pozbawili korzeni*<sup>1</sup>.

W swym wystąpieniu w Athenaeum Kurt mówił: *Podczas drugiej wojny światowej w mojej rodzinie, i wielu innych, krążyło takie powiedzenie: jedyny problem z Niemcami jest taki, że mieszkają w Niemczech. Powiadam więc, że wszystko, co godne podziwu w niemieckiej kulturze: poezja, muzyka, architektura, sztychy, piwo, wino, sentyment do świąt Bożego Narodzenia, etyka pracy — pochodzi z wielu różnych Niemiec. Wszystko, czego nienawidzę —*

---

<sup>1</sup> Ibid.

*pochodzi z jednych.* Oczywiście miał na myśli Niemcy hitlerowskie, o których w 1988 roku na spotkaniu Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychiatrycznego powiedział, że *przyprawili nas o koszmar, z którego moim zdaniem nigdy nie zdołamy się zbudzić.*

Rodzinną fortunę pochodzącą z handlu artykułami żelaznymi, a także zyski z odnoszącej sukcesy firmy architektonicznej pozwoliły rodzicom Kurta na wystawny tryb życia oraz wysłanie dzieci do prywatnych szkół dla towarzyskiej elity miasta: Orchard School dla chłopców i Tudor Hall dla dziewcząt. Kiedy jednak nastał wielki kryzys, wstrzymano niemal wszystkie budowy, więc Kurt senior musiał zamknąć interes. Kurta posłano do Szkoły Publicznej nr 43, co jego matka Edith, pochodząca z Lieberów — jednej z największych i najbogatszych niemieckich rodzin w mieście — uważała za tragedię. Zapewniała syna, że gdy tylko minie kryzys, odzyska godne miejsce w społeczeństwie, będzie grał w tenisa i golfa w Woodstock Country Club i cieszył się przywilejami przynależnymi elicie. Młody Kurt widział to jednak inaczej, jak wyjaśnił w *Niedzieli palmowej*: *Powodziło się nam co najmniej równie dobrze jak większości ludzi, z których dziećmi chodziłem do szkoły publicznej, i straciłbym wszystkich przyjaciół, gdybyśmy znowu zaczęli mieć służących, nosić kosztowne ciuchy, pływać transatlantykami, odwiedzać niemieckich krewnych w prawdziwym zamku, i tak dalej, i dalej. Matka (...) nie potrafiła zrozumieć, że porzucenie przyjaciół ze Szkoły Publicznej nr 43 (...) byłoby dla mnie porzuceniem wszystkiego<sup>1</sup>.*

Kurt zawsze mówił, że miał szczęście, urodziwszy się w Indianapolis. *Miasto to dało mi bezpłatne wykształcenie podstawowe i średnie, pełniejsze i bardziej ludzkie od wszystkiego, co miało mi dać pięć uniwersytetów, na których później studiowałem (Cornell, Butler, Carnegie Tech, Tennessee, Chicago)<sup>2</sup>.*

Ja jestem tego samego zdania i to jedna z cech, którą miałem szczęście dzielić z Kurtem Vonnegutem. Kolejną naszą więzią — tą,

---

<sup>1</sup> Ibid.

<sup>2</sup> K. Vonnegut, *Łosy gorsze od śmierci*, przeł. Jan Rybicki, Amber, Warszawa 1994.



dzięki której narodziła się przyjaźń na całe życie — była sportowa nieporadność. Zanim spotkaliśmy się po raz pierwszy w domu znajomego w Cambridge w stanie Massachusetts (Kurt mieszkał wtedy na Cape Cod), zdążyłem przeczytać wszystkie cztery książki, jakie wydał. Na kolacji było osiem osób, więc miałem okazję zamienić z nim zaledwie kilka humorystycznych uwag na temat szkoły średniej, ale od razu go polubiłem. Był wysokim, chudym mężczyzną o rozczochranych włosach, bujnych wąsach oraz serdecznym stylu bycia właściwym mieszkańcom Środkowego Zachodu. Jego niekonwencjonalne poczucie humoru, otwartość i życzliwość wobec wszystkich obecnych sprawiły, że wydał mi się kimś, kogo znam i komu mogę zaufać. Dały mi dość odwagi, bym rok później przesłał mu moją książkę zatytułowaną *Between the Lines*, łączącą dziennikarstwo z osobistym komentarzem. Przyznawałem w niej, że moje licealne marzenia o sportowej chwale zdruzgotała niezdolność do zejścia poniżej siedmiu minut w biegu na tysiąc sześćset metrów. Wyobrażałem sobie, że mój najlepszy czas wyrównałaby w miarę sprawna babcia. W odpowiedzi Kurt przysłał serdeczny, zabawny list. Wyjawił, że on także w liceum nie był w stanie pokonać bariery siedmiu minut. Twierdził, że mieliśmy tyłu wspólnych nauczycieli i tak podobne doświadczenia, że *w zasadzie nie powinno być nas dwóch*.

. . .

Dopiero znacznie później zrozumiałem, jak duży wpływ na Kurta miały jego „niesportowe” przeżycia w szkole. Gdy wreszcie, po wielu latach zmagania, zdobył sławę, pieniądze i przeprowadził się do Nowego Jorku, opowiedział mi, że pewnej nocy, siedząc samotnie ze szklaneczką bourbona, postanowił zadzwonić do informacji telefonicznej w Indianapolis i spytać o numer do człowieka, który trenował drużynę futbolową liceum Shortridge, gdy uczęszczał tam Kurt. Podobno w jego czasach w szkole panował zwyczaj, że nauczyciele podczas spotkania klasowego dawali „humorystyczne prezenty” znanym uczniom ostatniej klasy. Kurt, który w liceum był

wysoki, chudy i patykowany, „w nagrodę” dostał od trenera prenumeratę „Kursu kulturystycznego Charlesa Atlasa”, znanego z reklam przedstawiających czterdziestokilogramowego chuderlaka, który zmieniał się w umięśnionego herosa. Ten żart zranił i zawstydził Kurta. Pomimo odniesionego sukcesu wspomnienie wciąż go dręczyło. Gdy po tylu latach dodzwonił się do trenera, powiedział: *Nazywam się Kurt Vonnegut. Pewnie mnie pan nie pamięta, ale chciałem powiedzieć, że z moim ciałem jest już wszystko w porządku.*

Nie myślałem więcej na ten temat, dopóki we wstępie do jego zbioru opowiadań zatytułowanego *Tabakiera z Bagombo* nie przeczytałem wspomnienia z młodości — o tym, jak pewnego popołudnia wrócił ze szkoły do domu i usiadł, by poczytać opowiadanie w czasopiśmie „The Saturday Evening Post”. *Na dworze pada deszcz, a ja czuję się nie lubiany* — zaczął<sup>1</sup>. Z lektury szkolnego rocznika Kurta wiedziałem, że był przewodniczącym Komitetu Społecznego, który nadzorował imprezy i potańcówki, współszefem (wraz z najlepszym przyjacielem Benem Hitzem) „prześmiesznego zespołu komediowego” w ramach prestiżowego Wodewilu Trzecioklasistów, członkiem Rady Uczniowskiej, redaktorem „The Daily Echo” oraz — co na każdym, kto chodził do Shortridge, robi największe wrażenie — jednym z dziesięciu uczniów ostatniej klasy nominowanych do nagrody „Brzydala”, przy czym wcale nie przyznawano jej najbrzydszym, ale najbardziej lubianym chłopcom. Wraz z dziewczętami nominowanymi do nagrody „Ślicznotki” wybierał ich ogół uczniów i stanowiło to szczyt szkolnej popularności.

Przyjaciół Kurta z liceum, Victor Jose, kolega z Klubu Sów (jednego z wielu klubów towarzyskich, które nie funkcjonowały pod patronatem grona nauczycielskiego, ale świetnie prosperowały zarówno za ich, jak i za moich czasów), pracował z nim również w „The Daily Echo”, a po służbie podczas drugiej wojny światowej

---

<sup>1</sup> K. Vonnegut, *Tabakiera z Bagombo*, przeł. E. Zychowicz, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2012.

spotkali się w 1947 roku w redakcji „Chicago News Bureau”. Pozostali przyjaciółmi i przez całe życie korespondowali od czasu do czasu. Gdy spytałem Vica Jose’a, dlaczego Vonnegut mógł się czuć nie lubiany mimo tylu szkolnych sukcesów i osiągnięć, odrzekł, że musiało to mieć związek z *antagonistycznymi relacjami Kurta z tak zwanymi sportowymi bohaterami owych czasów*.

Kurt nabijał się ze sportowych bogów *zapewne w swoich tekstach, zapewne w „Echu” — wspominał Jose. — W każdym razie była między nimi zła krew. Paru szkolnych mięśniaków w ramach odwetu dopadło go w ustronnym miejscu. Podnieśli go i wpakowali do śmietnika. Wiem to z drugiej ręki, bo Kurt nigdy mi o tym nie opowiedział, ale wszyscy znali tę historię. Nie był to bynajmniej beztroski żart. Problem zaogniał się z czasem i ponownie wyszedł na światło dzienne na pięćdziesiątym zjeździe absolwentów*. Dwaj spośród klasowych osiłków sprzeciwili się temu, by Vonnegut wygłosił główną mowę — ale reszta komitetu organizacyjnego nalegała. Ostatecznie kłopot sam się rozwiązał, gdy Kurt zadzwonił dwa dni przed imprezą i powiedział, że zachorował na boreliozę, więc nie może przyjechać. Na sześćdziesiątym zjeździe, jak opowiadał Jose, ci sami dawni osiłkowie byli zde gustowani tym, że klasa podczas sobotniej kolacji w Athenaeum zamierzała wręczyć Kurtowi brązowe popiersie. Opuścili salę przed kulminacyjnym momentem ku czci najsłynniejszego kolegi.

We wstępie do *Our Time is Now: Notes from the High School Underground* (1970) Kurt napisał: *Nie przychodzi mi do głowy nic, co byłoby bliższe sednu amerykańskiego doświadczenia niż szkoła średnia*. Na podstawie własnych przeżyć uważam, że w owych młodościowych latach w znacznym stopniu kształtuje się nasza postawa oraz sposób postrzegania świata przez resztę życia. Dozgonna miłość Kurta do słabeuszy zaczęła się od antypatii wobec sportowych bogów jego czasów — oraz upokarzającej afery ze śmietnikiem. Upadek fortuny i zamknięcie firmy przez ojca podczas wielkiego kryzysu, a następnie ostateczna utrata pracy, gdy podczas drugiej wojny światowej wstrzymano wszelkie budowy, również musiały

wpłynąć na to, że Kurt w swej twórczości zawsze stawał po stronie najsłabszych.

Gdy w 1972 roku napisał dla magazynu „Harper’s” reportaż z konwencji Partii Republikańskiej, zamieścił w nim następującą konkluzję: *Dwie prawdziwe partie polityczne w Ameryce to Wygrani i Przegrani. Ludzie nie przyznają się do tego. Twierdzą, że należą do dwóch wyimaginowanych partii: Republikanów i Demokratów. W obu tych rzekomych partiach rządzą Wygrani. Kiedy Republikanie walczą z Demokratami, jedno jest pewne: zwyciężą Wygrani*<sup>1</sup>.

Dwa cytaty pojawiające się lub wspominane w całej twórczości Vonneguta zdają się kluczowe dla światopoglądu pisarza. Jednym z nich jest Kazanie na Górze. Gdy w 1980 roku zaproszono go do kościoła episkopalnego św. Klemensa w Nowym Jorku, by wygłosił kazanie w Niedzielę Palmową, powiedział: *Jestem oczarowany Kazaniem na Górze. Mam wrażenie, że miłosierdzie to jedyna dobra idea, jaką dotąd otrzymaliśmy. Być może z czasem otrzymamy następną dobrą ideę — wtedy będziemy już mieli dwie dobre idee*<sup>2</sup>. Drugi to słowa Eugene’a V. Debsa, krajana z Terre Haute w Indianie: *Jak długo istnieje klasa niższa — należę do niej. Jak długo istnieje element przestępczy — wywodzę się z niego. Dopóki choćby jedna dusza przebywa w więzieniu, nie jestem wolny*<sup>3</sup>.

W *Trzęsieniu czasu* nazwał tę sentencję *poruszającym echem Kazania na Górze*<sup>4</sup>. Użył jej również w roli epigrafu powieści *Hokus pokus*, której bohater nazywa się Eugene Debs Hartke na cześć Eugene’a Debsa z Terre Haute w stanie Indiana. Debs był Socjalistą i Pacyfistą oraz Działaczem Związkowym, który kilkakrotnie kandydował w wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych i który uzyskał więcej głosów niż jakiegokolwiek inny kandydat

---

<sup>1</sup> K. Vonnegut, *Wampetery, foma i granfalony*, przeł. D. Dowjat, Wydawnictwo Da Capo, Warszawa 1997.

<sup>2</sup> K. Vonnegut, *Niedziela...*, op. cit.

<sup>3</sup> K. Vonnegut, *Hokus pokus*, przeł. Z. Uhrynowska-Hanasz, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2013.

<sup>4</sup> K. Vonnegut, *Trzęsienie czasu*, przeł. M. Słysz, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2012.

*nominowany przez trzecią partię w historii tego kraju*<sup>1</sup>.

. . .

W powieści Vonneguta *Kocia kotłyska*, opowiadającej o dumnym fałszywym proroku Bokononie, autor wprowadza pojęcie „karassu”. *Ludzkość jest zorganizowana w zespoły, które — nie zdając sobie z tego sprawy — realizują Wolę Boga. Bokonon nazywa taki zespół karassem, (...) „Kiedy stwierdzacie, że wasze życie splata się z życiem innego człowieka bez jakiejś logicznej przyczyny — pisze Bokonon — człowiek ten najprawdopodobniej jest członkiem waszego karassu”*<sup>2</sup>.

Do najszcześniejszych zrządeń w moim życiu należy to, że znalazłem się w karassie Vonneguta. Poszczęściło się nam obu, ponieważ był w nim również wydawca Seymour „Sam” Lawrence, o którym wiele lat później Kurt napisał w *Trzęsieniu czasu*, że *uratował mnie od zapomnienia, od sześnięcia, publikując Rzeźnię numer pięć i wznowiając pozostałe moje książki*<sup>3</sup>.

Sam wydał *Rzeźnię* w 1969 roku, a rok później, gdy mój agent przesłał długo oczekiwaną (tylko przeze mnie) pierwszą powieść mojego autorstwa do dziesięciu wydawców, oferty złożyło jedynie trzech, ale tylko Sam się nią zachwycił. Spytał, czy zgodzę się, żeby przesłał egzemplarz Vonnegutowi, ponieważ akcja mojej książki toczy się w jego rodzinnym Indianapolis, a dzięki akceptacji Kurta łatwiej byłoby o zgodę Delacorte Press, współwydawcy i sponsora. Zgodziłem się, choć wówczas spotkałem Vonneguta tylko raz w życiu i nie miałem pojęcia, co powie. Książka, którą wysłałem mu w 1965 roku, nie była beletrystyczna, a moja powieść pod względem stylu i fabuły zupełnie nie przypominała jego twórczości. Zaraz potem dowiedziałem się, że Kurt wysłał do Sama Lawrence’a telegram, w którym napisał, że Sam musi wydać moją książkę i *ściągnąć tego*

---

<sup>1</sup> K. Vonnegut, *Hokus...*, op. cit.

<sup>2</sup> K. Vonnegut, *Kocia kotłyska*, przeł. L. Jęczmyk, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2012.

<sup>3</sup> K. Vonnegut, *Trzęsienie...*, op. cit.

*chłopaka do naszej stajni.*

Vonnegut był praktycznie ojcem chrzestnym tej powieści, zatytułowanej *Going All The Way*<sup>1</sup> (choć on sugerował tytuł *Jak zaliczyć w Indianapolis*). Sam zlecił mu nawet rolę mojego redaktora. Kurt przysłał mi list z dziesięcioma propozycjami ulepszenia książki, podkreślił jednak, że powinienem zrobić tylko to, co *do mnie przemawia*, i nie decydować się na nic tylko dlatego, że on to zasugerował. Wykorzystałem siedem pomysłów. (W ramach zapłaty za tę pracę Vonnegut poprosił Sama o fotel Eamesa i otrzymał go). Przyjechał z Cape Cod do Bostonu, gdzie mieszkałem, i wziął mnie na lunch do swej ulubionej knajpy Jake Wirth's, starej niemieckiej piwiarni z trocinami na podłodze. Później wpadł razem z żoną Jane, żeby oblać publikację. Jakby tego było mało, napisał recenzję mojej powieści do magazynu „Life”. Złamał wszystkie recenzenckie reguły, przyznając się, że jest moim przyjacielem i że komplementowałby tę książkę nawet, gdyby była *obleśna*, ale nie dałby *słowa honoru* że jest dobra. Następnie ją pochwalił i dał słowo honoru.

O ile mi wiadomo, to jedyny przypadek, gdy pisarz w recenzji książki dał „słowo honoru” albo użył słowa „obleśny”. Kurt zawsze wymyślał zaskakujące słowa — takie jak „obleśny” — niesłyszane już od bardzo dawna, może nawet od dzieciństwa, ale idealnie pasujące do sytuacji.

Kiedyś, w czasach hipisów, mnie i Kurta zaproszono do pewnej komuny (rozstawionej wówczas przez jej założyciela, Raya Mungo, w książce *Total Loss Farm*). Ray powiedział, że on i jego przyjaciele pragną się nauczyć, jak przeżyć w prymitywnych warunkach, ponieważ *chcielibyśmy być ostatnimi ludźmi na ziemi*. Kurt na to: *Czy to aby nie jest trochę przemądrzały plan?* Od czasów liceum nie słyszałem, żeby ktoś miał dość szczerości i odwagi, żeby użyć słowa „przemądrzały”, ale w tym momencie idealnie trafiło w sedno.

Zarówno w rozmowach, jak i w książkach oraz opowiadaniach Kurt zawsze wypowiadał niewypowiedziane — wyrażał to, przed

---

<sup>1</sup> Ekranizacja tej powieści nosi polski tytuł *Idź na całość*.

czym innych powstrzymywała poprawność polityczna bądź towarzyska. W DNA miał zakodowane wskazywanie, że król jest nagi, a wszyscy udają, że tego nie widzą. *Prawda potrafi rzeczywiście zwalić z nóg* — stwierdził w *Człowieku bez ojczyzny*. — *Nie spodziewasz się jej*<sup>1</sup>.

Vonnegut przemawiał na pogrzebie swego serdecznego przyjaciela Richarda Yatesa. Był nie tylko orędownikiem jego twórczości, ale także, o nic nie pytając, pożyczał pieniądze temu doskonałemu pisarzowi, który często ledwie wiązał koniec z końcem, a doceniony został dopiero po śmierci. Kurt powiedział, że Yates był równie dobrym autorem co inny jego przyjaciel, Nelson Algren, ale nie zyskał podobnego uznania w kręgach literackich. Zupełnie jakby głośno myślał, stwierdził, że Yates w przeciwieństwie do Algrena nigdy nie miał romansu z Simone de Beauvoir. Zamilkł na chwilę, po czym dodał: *Takie sprawy się liczą*. Zebrani spontanicznie parsknęli śmiechem — takim, jaki pojawia się w reakcji na słowa, z którymi wszyscy się zgadzają, ale zabrakło im dowcipu bądź odwagi, żeby wcześniej powiedzieć je na głos.

Vonnegut pisał w tym samym duchu bezwzględnej szczerości. To tłumaczy, dlaczego wiele osób (w tym niektórzy krewni z Indianapolis) uważało jego książki za obraźliwe. Pisał tak, jak ludzie mówią, używając słów stosowanych w codziennej mowie, co często powodowało, że rady szkół zakazywały jego powieści, próbowano też usuwać je z bibliotek publicznych w całym kraju. W miasteczku Drake w Dakocie Północnej egzemplarze światowego bestsellera Vonneguta, *Rzeźni numer pięć*, z polecenia miejscowego komitetu szkolnego dosłownie spalono w piecu. W niniejszym zbiorze znajduje się zjadliwy list Kurta do przewodniczącego owej rady, a także kilka innych pism, w których Vonnegut sprzeciwia się podobnym próbom oraz staje w obronie nauczycieli i bibliotekarzy, a także pierwszej poprawki do konstytucji<sup>2</sup>.

---

<sup>1</sup> K. Vonnegut, *Człowiek...*, op. cit.

<sup>2</sup> Pierwsza poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych dotyczy wolności obywatelskich, w tym wolności słowa.

Pisarstwo Vonneguta, podobnie jak jego sposób mówienia, często bywa zaskakujące, ponieważ budzi śmiech, a jednocześnie zmusza do refleksji, wyrażając to, co tkwiło nam w głowie, ale nie śmieliśmy tego powiedzieć ani nawet pomyśleć. Efekt jest rozbijający, ponieważ autor pozornie posługuje się tak prostym językiem i stylem, że czasem okazuje się to szokujące — i jest to szok samorozpoznania. Robert Scholes, pierwszy krytyk akademicki, który docenił jego twórczość (a przy tym jeden z najbardziej przenikliwych), wyjaśnił w swej książce *The Fabulators* z 1967 roku, że Vonnegut wykorzystuje *potencjał retoryczny krótkiego zdania i krótkiego akapitu lepiej niż jakikolwiek żyjący pisarz. Często osiąga efekt komiczny lub dramatyczny, wyodrębniając jedno zdanie w oddzielnym akapicie albo wyrywając frazę z kontekstu, by uczynić z niej osobliwy nagłówek rozdziału. Pozorna prostota i zwyczajność jego pisarstwa maskują siłę i skuteczność.*

To właśnie owa „prostota i zwyczajność” utrudniała życie większości recenzentów oraz krytyków, którzy uciekali się do szufladkowania Vonneguta, opacznie interpretując jego twórczość i szkodząc jej. Kiedy pracował w dziale public relations koncernu General Electric, *całkowicie otaczały mnie maszyny oraz koncepcje maszyn, więc napisałem książkę [Pianolę] o ludziach i maszynach. (...) A potem dowiedziałem się od recenzentów, że jestem autorem science fiction. Nie miałem o tym pojęcia. Myślałem, że piszę książkę o życiu —* wyjaśniał w eseju *Science Fiction* na łamach „The New York Times Book Review”. — *Od tamtej pory jestem zgorzkniałym mieszkańcem szuflady z napisem „science fiction”. Chciałbym się z niej wydostać, zwłaszcza że mnóstwo poważnych krytyków regularnie myli ją z pisarem.*

Taka kategoryzacja nie przeszkodziła Vonnegutowi w posługiwaniu się klasycznymi elementami science fiction — takimi jak fikcyjne planety i formy życia oraz podróże kosmiczne do innych światów — aby zilustrować przyziemne ludzkie dylematy dotyczące



spraw takich jak miłość i nienawiść, strach i szaleństwo, rozgrywające się w miejscach tak realnych jak Schenectady i Indianapolis, Drezno i Cape Cod, wyspy Galapagos i Wirginia Zachodnia. Już w 1967 roku, jeszcze zanim niespodziewany bestseller *Rzeźnia numer pięć* rozsadził konwencjonalne granice między fantastyką naukową a literaturą (gdy bohater powieści, Billy Pilgrim, *wypadł z czasu*<sup>1</sup> i porusza się między dekadami oraz miejscami tak odległymi jak Toledo w stanie Ohio i planeta Tralfamadoria), Robert Scholes dostrzegał, że *podobnie jak czysty romans dostarcza nam niezbędnych ćwiczeń psychicznych, intelektualna komedia w stylu Vonneguta zapewnia stymulację moralną — nie skostniałe pozycje etyczne, które możemy zająć z samozadowoleniem, lecz myśli, które uprawiają w ruch nasze sumienie i pomagają utrzymać w formie nasze człowieczeństwo, tak aby było gotowe zareagować na człowieczeństwo innych ludzi.*

Młodzi krytycy i wykładowcy akademicki, tacy jak Jerome Klinkowitz i John Somer, zaczęli uczyć o twórczości Vonneguta, a także pisać o niej — po raz pierwszy w 1973 roku w zbiorze esejów zatytułowanym *The Vonnegut Statement*. Z bibliotek i starych czasopism wygrzebali niezebrane wcześniej artykuły oraz eseje, a następnie przekonali pisarza do wydania ich w formie książkowej w 1974 roku pod tytułem *Wampetery, foma i granfalony*. Dołączyli do nich kolejni młodzi akademicy, tacy jak Peter Reed, Marc Leeds czy Asa Pieratt, którzy promowali, wykładali, gromadzili oraz interpretowali twórczość Vonneguta z myślą o nowych pokoleniach.

Ani cała ta uwaga, ani sukces, który stał się udziałem pisarza po ukazaniu się *Rzeźni numer pięć*, nie uchroniły go przed falą głębokiej niechęci towarzyszącej negatywnym opiniom o wydanej w 1976 roku powieści *Slapstick. Niezwykłe w tych recenzjach było to, iż ich autorzy chcieli, by wszyscy potwierdzili, że nigdy do niczego się nie nadawałem* — powiedział Vonnegut w wywiadzie dla „The Paris Review”. — *Recenzent z „The Sunday Times” dosłownie*

---

<sup>1</sup> K. Vonnegut, *Rzeźnia numer pięć*, przeł. L. Jęczyńsk, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2011.

domagał się od krytyków, którzy mnie kiedyś chwalili, żeby przyznali się do tego, jak bardzo się mylili. (...) ZakamufLOWANA skarga opierała się na tym, że jestem barbarzyńcą, piszę, nie zgłębiwszy wielkiej literatury, że nie jestem dżentelmenem, że dawniej z radością publikowałem gnioty w czasopiSMACH dla gminu. Krótko mówiąc: że nie spełniłem akademickiej powinności.

Dziennikarz zapytał go wówczas, czy po gradzie negatywnych recenzji *potrzebuje pocieszenia*. Nigdy w życiu nie czułem się gorzej — odparł Kurt. — *Nagle wszyscy krytycy chcą mnie rozgnieść jak pluskwę*.

Być może poczuł się tak jak wówczas, gdy szkolne osiłki wepchnęły go do śmietnika.

. . .

Vonneguta często — i trafnie — porównywano z Markiem Twainem, zarówno jako mówcę, jak i pisarza. Recenzując *Rzeźnię numer pięć*, krytyk Granville Hicks wspomniał, że pewnego razu był świadkiem jego publicznego występu. Jego zdaniem Vonnegut miał podobny do Twaina „potoczny czar” oraz „indywidualność”, która znalazła odzwierciedlenie w książce. Kurt powiedział kiedyś Jerome’owi KlinkowitZowi: *Moja twórczość zwykle najbardziej podoba się tym, którzy najpierw słyszeli mnie na żywo*.

Po raz pierwszy byłem świadkiem jego występu w latach osiemdziesiątych podczas zgromadzenia generalnego unitarian uniwersalistów w Rochesterze w stanie Nowy Jork. Unitarianie to jedyny kościół, z którym Vonnegut mógł się komfortowo identyfikować, ponieważ nie mają dogmatów ani zasad wiary. Jak można przeczytać w dziale „przekonania i wartości” na ich stronie internetowej, *mile widziane są osoby różnych przekonań, w tym ateści, agnostycy, buddyści, humaniści, poganie oraz wywodzący się z innych tradycji religijnych i filozoficznych*. Przyjmują nawet chrześcijan, a ja byłem tam jako członek King’s Chapel w Bostonie, jednego z niewielu kościołów chrześcijańskich w Stowarzyszeniu Unitarian Uniwersalistów.

Większość kościołów unitariańskich zrzesza humanistów. Chociaż Kurt nie należał do żadnego z nich, był honorowym przewodniczącym Amerykańskiego Stowarzyszenia Humanistycznego, co czyniło go właściwym mówcą podczas tego zgromadzenia. Opisywał siebie jako *ateistę kochającego Chrystusa*, a kiedyś powiedział, że *aby nie wyjść na duchowego paralityka, obcym ludziom, którzy próbują mnie wysondować, czasem mówię, że jestem unitarianinem uniwersalistą*.

Kurt zaczął wystąpienie od przygotowanego specjalnie na tę okazję niezawodnego numeru, który musiał ucieszyć zebranych. W klapie miał okrągły znaczek podobny do tych, jakie rozdaje się podczas kampanii politycznych. Wyjaśnił, że wyraża on jego zachwyt dla unitarian. Jest tu obrazek *kielbasy przekreślonej dużym iksem* — powiedział. — *Oznacza „żadnych bredni”*<sup>1</sup>. Ludzie zaczęli śmiać się i bić brawo. Ruszył z kopyta i jak zwykle zjednał sobie publiczność, co udawało mu się bez względu na okazję. Później słyszałem go w różnych miejscach i różnych sytuacjach. Niezależnie od tego, czy wypowiadał się z gniewem i pasją przeciwko pierwszej inwazji na Irak, w kościele unitariańskim Wszystkich Dusz w Nowym Jorku, czy z humorem i nostalgią na temat organizacji Spirit and Place, na Uniwersytecie Butlera w Indianapolis, jako mówca zawsze potrafił zrobić to samo, co robił jako pisarz — postępował zgodnie z regułą E.M. Forstera: *nawiązywał wewnętrzne przymierze*<sup>2</sup>.

. . .

Kurt nawiązywał przymierze nie tylko z publicznością, lecz także z przyjaciółmi. Jednym z elementów, które przewijają się przez listy wybrane przeze mnie spośród ponad tysiąca, są długotrwałe przyjaźnie ciągnące się przez całe życie: z kolegami od przedszkola po liceum, Uniwersytet Cornella oraz wojsko, z krewnymi z Indianapolis (nawet tymi, którzy nie uznawali jego książek), ze swymi dziećmi, uczniami, kolegami, z którymi wykładał, innymi

---

<sup>1</sup> Po angielsku: „no baloney”. Wyraz *baloney*, nazwa wędliny podobnej do mortadeli, oznacza także „brednie”.

<sup>2</sup> E.M. Forster, *Howards End*, przeł. E. Krasieńska, Czytelnik, Warszawa 1993.

pisarzami, badaczami oraz krytykami piszącymi na temat jego twórczości. Listy Kurta są takie same jak jego książki, opowiadania, artykuły i eseje — zmuszają do myślenia, podnoszą na duchu, budzą gniew na niesprawiedliwość, pozwalają ujrzeć wiele rzeczy w innym świetle, kwestionują „zwyczajowo przyjętą mądrość” społeczeństwa — i jak zawsze: dostarczają zabawy.

Do bohaterów Vonneguta należeli komicy Laurel i Hardy<sup>1</sup> oraz radiowi satyrycy Bob Elliott i Ray Goulding, których audycja *Bob and Ray* budziła śmiech wielu pokoleń. Kurt lubił się śmiać i lubił bawić innych, czasem głupimi żartami, które rzucał ścichapęk. Pewnego dnia, gdy po lunchu wracaliśmy nowojorską ulicą, nagle odwrócił się do mnie i spytał: „Jakie jest przeciwieństwo podkowy?”. Po jakiejś minucie powiedziałem, że się poddam, a on na to: „nad-kowa”, po czym parsknął tym swoich chrypliwym śmiechem.

Śmiał się też z siebie i z okazjonalnych wpadek kolidujących z jego humanistycznymi poglądami. *My, humaniści — wyjaśniał w Trzęsieniu czasu — staramy się postępować przyzwoicie i godnie, ani nie licząc na nagrodę, ani nie bojąc się kary po śmierci*<sup>2</sup>. Po jednym z naszych nowojorskich lunchów opowiadał mi, że dał plamę, wygłaszając mowę pochwalną na cześć swego przyjaciela Isaaca Asimova, znanego pisarza science fiction, który pełnił przed nim funkcję honorowego przewodniczącego Stowarzyszenia Humanistycznego. *Powiedziałem, że Isaac na pewno jest już w niebie* — rzekł ze śmiechem i pokasywaniem palacza. — *Zapomniałem się.*

Gdyby okazało się, że życie pozagrobowe jednak istnieje, Kurt zagwarantował w nim miejsce osobom, które kochał. Jak napisał w *Trzęsieniu czasu*, swej ostatniej powieści, był pewien, że jego pierwsza żona, Jane, jest w niebie, podobnie jak Sam Lawrence, wydawca, który uratował go od „sczeźnięcia”.

. . .

---

<sup>1</sup> Znani w Polsce jako Flip i Flap.

<sup>2</sup> K. Vonnegut, *Trzęsienie...*, op. cit.

Kurt zawsze okazywał wsparcie swym przyjaciółom pisarzom. Na rok przed śmiercią przybył wysłuchać wykładu, jaki wygłosiłem w kościele episkopalnym św. Bartłomieja na temat mojej niedawno wydanej książki. Potem zaprosił mnie na kolację. Kiedy w oczekiwaniu na jedzenie on, jak to miał w zwyczaju przed posiłkiem, pił manhattana, a ja — kieliszek wina, wciąż przypatrywali się nam dwaj młodzi mężczyźni siedzący przy sąsiednim stoliku. W końcu jeden z nich podszedł, by zapytać: „Czy pan jest Kurtem Vonnegutem?”. Kurt odparł, że owszem, po czym natychmiast mnie przedstawił, opowiedział nieznajomemu o mojej nowej książce i zachęcił go, żeby koniecznie ją przeczytał, choć biedaka wcale ona nie interesowała. Uprzejmie odpowiedział na kilka pytań dotyczących siebie oraz swojej twórczości, po czym eleganckim ruchem dłoni pożegnał rozmówcę, który podziękował i wrócił do stolika. To było u Kurta typowe: odwracał uwagę od siebie, starając się promować nieznaną książkę przyjaciela, taktownie reagował na dyktowane najlepszymi intencjami najście nieznajomego i z godnością go odprawiał, dzięki czemu i przyjaciel, i fan czuli się usatysfakcjonowani. Żył zgodnie z przykazaniem, które weszło mu w życie: *Wszystko więc, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie*<sup>1</sup>.

W *Trzęsieniu ziemi* napisał: *Kiedy sam, nie daj Boże, umrę, mam nadzieję, że jakiś jazarz powie o mnie: „On jest już tam, w niebie”*<sup>2</sup>.

Na wszelki wypadek pragnę niniejszym powiedzieć o Kurcie Vonnegucie: On jest już tam, w niebie.

---

<sup>1</sup> Biblia Tysiąclecia, Mt 7,12.

<sup>2</sup> K. Vonnegut, *Trzęsienie...*, op. cit.

## LATA CZTERDZIESTE

Vonnegut ukończył liceum Shortridge w 1940 roku i zapisał się na Uniwersytet Cornella. Ze względu na kłopoty finansowe rodziny wywołane przez wielki kryzys ojciec i starszy brat kazali mu nie marnować czasu na „frywolne przedmioty”, lecz skoncentrować się na praktycznych, takich jak fizyka, chemia i matematyka. Kurt kontynuował aktywność towarzyską i pisarską zapoczątkowaną w Shortridge: wstąpił do bractwa studenckiego Delta Ypsilon oraz pisał dla uniwersyteckiej gazety „The Cornell Daily Sun”, w której został felietonistą i redaktorem prowadzącym.

Oblewał egzaminy i (po przebyciu zapalenia płuc) w 1943 roku zaciągnął się do wojska. Skierowano go do ASTP (Specjalistycznego Wojskowego Programu Szkolenia) i wysłano na Carnegie Tech oraz Uniwersytet Tennessee, gdzie odbył szkolenie z zakresu inżynierii mechanicznej. Potem został przypisany do 106. Dywizji Piechoty. Gdy przed wyjazdem za ocean wyszedł na przepustkę z Camp Atterbury pod Indianapolis i udał się do domu, jego matka, Edith Lieber Vonnegut, popełniła samobójstwo, przedawkowując tabletki nasenne. Miało to miejsce 14 maja, w dzień po Dniu Matki. *Nie wiadomo, dlaczego moja matka się zabiła* — napisał Kurt w liście z „biograficznymi sprawami”, który przesłał profesorowi Klinkowitzowi 11 grudnia 1976 roku. — *Nigdy nie wspominała o okropieństwie walki przeciwko ojczyźnie ani nic z tych rzeczy. Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie, żeby moi rodzice kiedykolwiek nazywali Niemcy „ojczyzną”. (...) To wojna jako taka zniszczyła moją matkę, a nie wojna z Niemcami. Poza tym zażywała bardzo dużo barbituranów w czasach, gdy uważano, że ich skutki uboczne są znikome.*

Istniały też inne przyczyny, opisane przez „wujka Johna” Raucha w *An Account of the Ancestry of Kurt Vonnegut, Jr., by an Ancient Friend of his Family* (Opis rodowodu Kurta Vonneguta juniora, autorstwa wieloletniego przyjaciela jego rodziny) — i przytoczone przez Kurta w *Niedzieli palmowej*. Rauch, absolwent Harvardu i prawnik z Indianapolis (w rzeczywistości nie był wujem Kurta, lecz mężem jego kuzynki), napisał, że: *Perspektywa utraty syna w nadciągającej masakrze, połączona z problemami finansowymi, przelała czarę goryczy. Edith popadła w przygnębienie i sposepniała. Rozpaczliwie potrzebując pieniędzy, próbowała pisać nowele, które mogłaby sprzedać, ale było to daremne, beznadziejne przedsięwzięcie; tragiczne rozczarowanie. Zaczęła cierpieć na światłowstręt*<sup>1</sup>.

Vonnegut był zwiadowcą w 106. Dywizji Piechoty i podczas bitwy o Ardeny został przez wojsko niemieckie wzięty do niewoli i wysłany do Drezna, gdzie przeżył nalot bombowy na miasto, ukryty wraz z innymi jeńcami w podziemnej chłodni na mięso. W swym „biograficznym” liście do Klinkowitza napisał, że *praktycznie wszyscy moi współwięźniowie byli studentami zmagazynowanymi w ASTP. Później — ponieważ na froncie mieliśmy tak mało amunicji, wciąż czekaliśmy na zimowe wyposażenie, ani razu nie widzieliśmy amerykańskiego samolotu lub czołgu i nie ostrzeżono nas, że Niemcy gromadzą mnóstwo czołgów przed ostatnim mocnym uderzeniem — podejrzewaliśmy, że Sto Szósta była przynętą. W szachach nazywa się to gambitem. Wystarczy, że zbijesz wyeksponowany pionek, i już przegrałeś partię.*

Victor Jose, wieloletni przyjaciel Kurta, który chodził do Swarthmore z Jane Cox, uważa, że gdy w 1944 roku Vonnegut przyjechał do domu na przepustkę, udał się z wizytą do Jane, którą znał od przedszkola i spotykał się z nią, kiedy razem chodzili do liceum Shortridge. Victor pamięta, że Kurt pojawił się na miejscu „w samą porę” i zdążył ją przekonać, żeby zerwała znajomość z chłopakiem z uczelni i poczekała, aż Vonnegut wróci z wojny. Później Kurt opisał sfabularyzowaną wersję tego spotkania w opowiadaniu *Długi spacer na zawsze* (umieszczonym w zbiorze *Witajcie w małpiarni*).

W lipcu 1945 roku otrzymał honorowe zwolnienie ze służby wojskowej oraz przyznano mu Purpurowe Serce. We wrześniu wziął

---

<sup>1</sup> K. Vonnegut, *Niedziela...*, op. cit.

ślub z Jane podczas kwakerskiej ceremonii (Jane i jej rodzina byli kwakrami). Jane, która pochłaniała książkę za książką, rok wcześniej ukończyła Swarthmore College jako członkini stowarzyszenia dla najlepszych studentów Fi Beta Kappa z nagrodą dla absolwenta posiadającego największą osobistą biblioteczkę. Później Kurt powiedział jednemu z przyjaciół, że książki, które Jane wniosła do małżeństwa, były jej „posagiem”. W *Losach gorszych od śmierci* napisał, że podczas miesiąca miodowego *zmusiła mnie, żebym czytał jej na głos Braci Karamazow, według niej najlepszą ze wszystkich istniejących powieści*<sup>1</sup>.

Kurt i Jane zostali przyjęci na studia magisterskie na Uniwersytecie Chicagowskim i przeprowadzili się w grudniu 1945 roku. (Jane rzuciła studia na filologii słowiańskiej, kiedy w 1946 roku zaszła w ciążę). Kurtowi, tak jak wielu weteranom wracającym z wojny, w opłaceniu nauki pomogły fundusze zagwarantowane przez G.I. Bill, ustawę zapewniającą wsparcie zdemobilizowanym żołnierzom, między innymi poprzez finansowanie edukacji. Podjął studia magisterskie z antropologii, a jednocześnie pracował jako reporter w Chicago News Bureau. Gdy odrzucono jego pracę magisterską — studium porównawcze społeczności Indian z Wielkich Równin praktykujących Taniec Ducha z malarzami kubistycznymi — a potem w 1947 roku urodził mu się pierwszy syn, Mark, Vonnegut postanowił rzucić studia i poszukać pracy, aby utrzymać rodzinę. (Córka Edith przyszła na świat dwa lata później, a kolejna, Nanette, urodziła się w 1954 roku). Odrzucił ofertę z mieszczącego się w Indianapolis wydawnictwa Bobbs-Merrill, przyjął natomiast posadę w dziale public relations koncernu General Electric z Schenectady w stanie Nowy Jork. Jego starszy brat Bernard pracował tam jako fizyk atmosfery. Lepiej płacono, a Kurt i Jane potrzebowali zmiany otoczenia. Victor Jose powiedział mi, iż *obawiali się, że jeśli zostaną w Indianapolis, rodzina Jane zmusi ją do wstąpienia do Junior League*<sup>2</sup>, *a oboje z Kurtem nie przepadali za takim „salonowym” życiem. Już wtedy byli buntownikami*.

Pracując za dnia w public relations, nocami oraz w weekendy Kurt pisywał opowiadania i wysyłał je do czołowych, dobrze płacących

---

<sup>1</sup> K. Vonnegut, *Losy...*, op. cit.

<sup>2</sup> Junior League to istniejące w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Kanadzie i Meksyku kobiece organizacje charytatywno-edukacyjne działające na rzecz poprawy życia w lokalnych społecznościach dzięki wolontariatowi.



popularnych czasopism owych czasów. To była „złota era czasopism”, gdy William Faulkner publikował opowiadania w „Collier’s”, F. Scott Fitzgerald pojawiał się w „The Saturday Evening Post”, John Steinbeck w „The Woman’s Home Companion”, a Ernest Hemingway w „Esquire”. Cztery tygodniki i sześć miesięczników publikowało w każdym numerze po trzy, cztery opowiadania. Sprzedając im swoje teksty, „ten chłopak Vonnegut” był w stanie (z trudem) zarobić na życie, utrzymać rodzinę i rozpocząć karierę pisarską.

Matka Kurta poniosła w tej dziedzinie klęskę, ale jemu się udało. Przełom nastąpił, gdy Knox Burger, absolwent Cornella, który został redaktorem działu literackiego w „Collier’s”, rozpoznał nazwisko Kurta na jednym ze zgłoszeń. Na dole informacji o odrzuceniu opowiadania odręcznie nabazgrał pytanie, czy to ten sam Kurt Vonnegut, który studiował na Uniwersytecie Cornella i pisywał do „Sun”. Taki był początek znajomości, która zaowocowała przyjęciem do druku pierwszego opowiadania Kurta i rozpoczęciem kariery pisarskiej.

29 maja 1945

[Hawt]

Od: starszy szeregowy K. Vonnegut, Jr.,  
12102964 Armia Stanów Zjednoczonych  
Do Kurta seniora i rodziny

To był pierwszy list, jaki starszy szeregowy Kurt Vonnegut junior wysłał do rodziny po zwolnieniu z niewoli jenieckiej.

Victor Jose, kolega Kurta z liceum Shortridge w Indianapolis (a potem z Chicago News Bureau), napisał do mnie: *Wydaje mi się, że ten list po raz pierwszy przeczytano publicznie w 1945 roku na spotkaniu zrzeszającego artystów i pisarzy [z Indianapolis] Portfolio Club, do którego należeli moi rodzice.* Opowiedzieli mu, że list odczytał ojciec Kurta, który również był członkiem klubu.

List opisuje nalot bombowy na Drezno — doświadczenie, które miało ukształtować jego późniejszą twórczość i znaleźć najmocniejszy wyraz w powieści *Rzeźnia numer pięć* z 1969 roku, która stała się międzynarodowym bestsellerem i uczyniła Kurta pisarzem światowej sławy. Widzimy tu również zwiastun jego przyszłego stylu w postaci subtelnej, mrocznej ironii, z jaką opisuje ponure wydarzenia oraz to,

jak zdołał przeżyć. Można odnieść wrażenie, że słowa „ale nie ja... ale nie mnie” później odbijają się echem w słynnej frazie powtarzającej się w twórczości Vonneguta: „Zdarza się...”.

Drodzy Rodzice!

Podobno do tej pory poinformowano Was tylko o tym, że „zaginałem w akcji”. Przypuszczalnie nie dostaliście również listów, jakie wysyłałem z Niemiec. To oznacza, że mam Wam wiele do wyjaśnienia — a mianowicie:

Byłem jeńcem wojennym od 19 grudnia 1944 roku, kiedy ostatni desperacki ruch Hitlera na Luksemburg i Belgię rozniósł naszą dywizję na strzępy. Uderzyło na nas siedem fanatycznych dywizji pancernych, odcinając od reszty Pierwszej Armii Hodgesa. Pozostałe amerykańskie dywizje na naszych skrzydłach zdołały się wycofać: nam kazano zostać i walczyć. Bagnety na niewiele się zdają przeciwko czołgom: skończyła nam się amunicja, żywność i zapasy medyczne, a liczba ofiar przewyższała liczbę wciąż zdolnych do walki — więc się poddaliśmy. Podobno Sto Szósta dostała za to pochwałę od prezydenta i jakieś brytyjskie odznaczenie, ale niech mnie diabli, jeśli było warto. Jako jeden z niewielu nie zostałem ranny. Chociaż za to Bogu dzięki.

Nadludzie przepędzili nas bez jedzenia, wody i snu jakieś sto kilometrów do Limbergu<sup>1</sup>, gdzie zostaliśmy załadowani po sześćdziesięciu w ciasne, niewietrzone i nieogrzewane wagony towarowe. Nie było urządzeń sanitarnych — podłogi pokrywało świeże krowie łajno. Brakowało miejsca, żebyśmy wszyscy mogli się położyć. Połowa spała, a w tym czasie reszta musiała stać. Na tej bocznicy w Limbergu spędziliśmy kilka dni, w tym Boże Narodzenie. W Wigilię RAF ostrzelał i zbombardował nasz nieoznakowany pociąg. Zginęło stu pięćdziesięciu z nas. W pierwszy dzień świąt dostaliśmy trochę wody, a potem powoli ruszyliśmy przez Niemcy do dużego obozu jenieckiego w Muhlburgu<sup>2</sup> na południe od Berlina. W Nowy Rok wypuszczono nas z wagonów. W ramach odwszawiania Niemcy zagnali nas pod piekielnie gorące prysznice. Wielu więźniów zmarło tam po dziesięciu dniach z głodu, pragnienia i zimna. Ale nie ja.

---

<sup>1</sup> Pisownia oryginalna w liście Vonneguta — chodzi o Limburg.

<sup>2</sup> Jak wyżej — chodzi o Mühlberg.

Na mocy konwencji genewskiej oficerowie i podoficerowie w niewoli nie są zobowiązani do pracy. Ja, jak wiecie, jestem szeregowym. Sto pięćdziesiąt pomniejszych istot takich jak ja 10 stycznia przewieziono do obozu pracy w Dreźnie. Dzięki temu, że odrobinę mówię po niemiecku, zostałem ich przedstawicielem grupy. Mielśmy pecha trafić na strażników, którzy okazali się fanatycznymi sadystami. Odmawiano nam ubrań i opieki medycznej, przydzielano długie godziny niezwykle ciężkiej pracy. Dzienna racja żywności składała się z dwustu pięćdziesięciu gramów czarnego chleba oraz pół litra nieprzyprawionej kartoflanki. Po dwóch miesiącach rozpaczliwych prób poprawy naszej sytuacji, które spotykały się jedynie z beznamytnym uśmiechem, powiedziałem strażnikom, co zamierzam z nimi zrobić, kiedy przyjdą Rosjanie. Trochę mnie pobito. Zwolniono z funkcji przedstawiciela grupy. Pobicie to małe piwo — jeden chłopak umarł z głodu, a dwóch esesmani rozstrzelali za kradzież jedzenia.

Okolo 14 lutego przylecieli Amerykanie, a potem RAF. Wspólnymi siłami w ciągu dwudziestu czterech godzin zabili dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi i całkowicie zniszczyli Drezno — być może najpiękniejsze miasto świata. Ale nie mnie.

Potem zagoniono nas do pracy przy wynoszeniu zwłok ze schronów przeciwlotniczych: kobiet, dzieci i starców, którzy zginęli wskutek wstrząsu, pożaru lub uduszenia. Cywile wyzywali nas i ciskali w nas kamieniami, gdy nosiliśmy ciała na olbrzymie stosy pogrzebowe rozstawione w mieście.

Kiedy generał Patton zajął Lipsk, ewakuowano nas pieszo do Hellexisdorfu<sup>1</sup> na granicy saksońsko-czechosłowackiej. Tam zostaliśmy aż do końca wojny. Strażnicy nas porzucili. Owego szczęśliwego dnia Rosjanie zapragnęli oczyścić nasz sektor z odosobnionych sił oporu. Ich samoloty (P-39) ostrzelały nas i zbombardowały, zabijając czternastu ludzi, ale nie mnie.

W ośmiu ukradliśmy zaprzęg i wóz. Przez osiem dni podróżowaliśmy przez Kraj Sudecki oraz Saksonię, plądrując i żyjąc po królewsku. Rosjanie szaleją za Amerykanami. Znaleźli nas w Dreźnie. Stamtąd przewieźli wypożyczonymi od USA ciężarówkami Forda na amerykańską linię frontu w Halle.

---

<sup>1</sup> Jak wyżej — chodzi o Hellendorf.

Później samolotem przetransportowano nas do Hawru.

Piszę ten list z klubu Czerwonego Krzyża w obozie repatriacyjnym dla jeńców wojennych w Hawrze. Wspaniale mnie tu karmią i zabawiają. Statki płynące do kraju są oczywiście wypełnione po brzegi, więc muszę czekać cierpliwie. Mam nadzieję, że już za miesiąc będę w domu. Potem odbędę dwadzieścia jeden dni rekonwalescencji w Atterbury, wypłacą mi około sześciuset dolarów zaległego żołdu i dostanę — uważajcie — sześćdziesiąt (60) dni przepustki!

Mam cholernie dużo do opowiedzenia, ale reszta musi poczekać. Nie dojdą tu do mnie listy, więc nie piszcie.

29 maja 1945

Całuję,

Kurt Jr.

4 lipca 1945

Indianapolis

Do Elli Vonnegut Stewart  
od wuja Kurta, Alexa Vonneguta

To list od wuja Alexa, brata jego ojca, do kuzynki Elli Stewart, w którym opisuje, jak odebrali Kurta (znanego w rodzinie jako Kay dla odróżnienia od ojca, Kurta seniora) z Camp Atterbury pod Indianapolis, kiedy Vonnegut wrócił ze służby wojskowej podczas drugiej wojny światowej. Wuj Alex wziął ze sobą starszą siostrę Kurta, Alice.

Droga Ello!

Kay jest już w domu. Wczoraj w południe Kurt powiedział mi, że zatelefonowała do niego Alice. Kay dzwonił z Camp Atterbury. Prosił, żeby odebrać go koło trzeciej; do tego czasu będzie już wolny. Ucieszyłem się, że Kurt poprosił mnie, żebym pojechał po chłopaka z nim i Alice. Po raz pierwszy byłem w Atterbury. Co za ogromne miejsce: koszar, koszar ciągnące się kilometrami kwadratowymi, tysiące żołnierzy i mnóstwo niemieckich jeńców wojennych. Podjechalśmy pod Klub Oficerski nr 1, gdzie Kay kazał na siebie czekać. Było już dziesięć po trzeciej, a jego nie widać. Przygrywały szafy grające, a żołnierze tańczyli z dziewczynami z korpusu kobiet. Był ruch przy stoisku z lodami,

sprzedawali też ciasta i coca-colę. Alice się denerwowała. Bała się, że zwymiotuje. Kupiliśmy coca-colę, a potem usiedliśmy na ganku. Wokół nas siedziało kilkunastu żołnierzy i jakoś zabijało czas. Ogólnie panowała atmosfera nudy.

W oddali zobaczyliśmy zbliżającego się wysokiego chłopaka z wielką, ciężką torbą. Czy to mógł być Kay? Te długie nogi. Może... tak! Puściliśmy do niego Alice. Uściskali się i ucałowali.

— No już, bez emocji, proszę! — protestował Kay.

Oboje otarli oczy. Potem uściskał go ojciec. Ja uroczyście ścisnąłem mu dłoń. Wielka torba została zaniesiona do dodge'a Kurta. Kay otworzył tył i wrzucił ją do środka. Jest wysoki jak zawsze, ma te same długie rzęsy, ale och, ta twarz! Mocno opalona po pobycie w ośrodku rehabilitacyjnym w Hawrze i piętnastodniowym rejsie przez Atlantyki.

— Chcę prowadzić! — Zawiózł nas do domu. Szkoda, że nie umiem stenografować albo nie miałem dyktafonu, żeby zarejestrować wszystko, o czym opowiedział nam ten dwudziestodwuletni chłopak (w listopadzie skończy dwadzieścia trzy lata — 11 listopada). Dobrze się wysławia. Jest elokwentny. Po drodze z Atterbury do Indianapolis mówił bez przerwy. A co powiedział? Czego on nie powiedział! Gdzież to on nie był, czegoż nie przeżył i nie wycierpiał.

Nic, co bym tu napisał, nie odda zadowalająco wszystkiego, co usłyszeliśmy. Zważ, że jednocześnie prowadził i mówił, a z Atterbury do domu Louise Adams, gdzie zaparkował Jimbo, jest tylko jakieś siedemdziesiąt kilometrów. Przez swoje doświadczenia po trafieniu do niewoli tego strasznego dnia, kiedy 106. Dywizja została nagle i niespodziewanie rozgromiona, schudł dwadzieścia kilogramów. *Nigdy wcześniej naprawdę nie byłem głodny. Nie wiedziałem, co to autentyczne pragnienie. Głód to dziwne uczucie. Człowiek zaczyna świrować! Ale nie można się poddawać. Jeśli się poddasz — jeżeli nic cię nie obchodzi, jeśli się położysz i machniesz ręką na wszystko, zachorujesz na nerki, zaczniesz sikać krwią, a potem już nie dasz rady wstać, więc skapcaniejesz.*

— Co tutaj mówią o bombardowaniu Drezna?

Tak, powiedzieliśmy mu, że wiemy o tym, że zostało zbombardowane. Widział Drezno, zanim to wszystko się stało — w ciągu dwudziestu czterech godzin! Był w samym środku

wydarzeń — uwięziony ze stu pięćdziesięcioma więźniami w miejskiej rzeźni, której nie zbombardowano. *Jak powiedział jeden gość: „Było tu sto pięćdziesiąt świń, a teraz jest stu pięćdziesięciu jeńców piechoty”. Obecnie można się położyć w dowolnej części Drezna i rozejrzeć się po całej okolicy, która kiedyś była pięknym, naprawdę pięknym miastem. Wokoło nie ostało się więcej niż pięćdziesiąt budynków. I nie myślcie, że zniszczenia tego miasta to nie skandal! Nie wyobrażacie sobie, co to znaczy. I kto tam zginął? Dwieście pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn — oczywiście głównie starszych — wszystkie kobiety i wszystkie dzieci. Nie da się opisać, jak to jest zostać zbombardowanym. Pomyślcie tylko! Ludzie w Saksonii nigdy nie lubili Hitlera i tej jego bandy sukinsynów! Był w Dreźnie tylko dwa razy. Nigdy go ciepło nie przywitali. Tam praktycznie nie było schronów przeciwlotniczych. Zakładano, że Drezno nie jest zagrożone. Wszystko zniknęło. Galerie sztuki — wszystko!*

— Co to za blizna za uchem? — spytała Alice.

— Tam mnie uderzył esesman.

— Czym?

— Szczotką ryżową.

A potem była opowieść o więźniu, który ukradł puszkę fasoli. Skazali go i musiał podpisać dokument, w którym przyznawał się do jakiejś ohydnej zbrodni — nawet nie wiedział, co podpisuje. I nie wiedział, gdy nazajutrz rano czterech z nas wyprowadzono z łopatami (i my też nie wiedzieliśmy), że będziemy kopać mu grób. A potem zastrzelono go nad tym grobem — odwróconego plecami do plutonu! (Wtedy kierowca dodge’a zalał się łzami). „Sukinsyny! Sukinsyny!”.

Rosjanie? *Nie uwierzycie, ale ucałował mnie radziecki major! Spytał mnie, jak nas traktowali Rosjanie. Powiedziałem, że bardzo dobrze! On na to, że mają sporo kłopotu z własnymi ludźmi, którzy czasem nie wiedzą, że Amerykanie walczą po tej samej stronie. Szkoda, że nie widzieliście tych hord Rosjan, które teraz wlewają się do Saksonii. Kiedy wkroczyły siły zwiadowcze, wszyscy Niemcy pobledli ze strachu i pochowali się w piwnicach. Ale radzieccy żołnierze przybyli w karnych szeregach, rozdawali ludziom chleb, jechali nowiutkimi autami wypożyczonymi od Amerykanów, byli czyści i szykowni. Natomiast parę dni później nadciągnęły rosyjskie hordy. Co tam Murzyni z amerykańskiego*

*Południa! Jezu! Te rosyjskie masy są przerażające. Plądrowali, co popadło. W całej Saksonii nie zostało ani jedno stado bydła. Wiecie, jaka naprawdę jest wódka? Jezu! To czysty alkohol, a oni to chłają całymi szklankami. Poważnie, naukowcy powinni zbadać, jak to możliwe, żeby człowiek pił coś takiego w podobnych ilościach. To mężczyźni! Chryste, to było straszne — te gwałty i wszystko, co się działo. Wierzcie mi! Wiem, co się wydarzy w Europie. Dopiero teraz zaczną się kłopoty. Francuzi nienawidzą Amerykanów; Polacy i Rosjanie nienawidzą Niemców; Polacy nienawidzą Rosjan; wszyscy nienawidzą Niemców — z wyjątkiem Amerykanów, którzy im dają pięć jajek tygodniowo na terytorium okupowanym przez swoje wojsko. A ja chcę powiedzieć, że mam na pieńku z Brytyjczykami. Nie są w porządku. Powinniście zobaczyć murzyńskich żołnierzy we Francji. Jak oni dają czadu! Ale nie mówcie mi, że amerykański Murzyn nie umie walczyć. To równie dobrzy i dzielni żołnierze jak cała reszta — Amerykanie, Niemcy czy Rosjanie. Fajnie patrzeć, jak Murzyni grają na pieniądzu: „Tak! Dawaj jeszcze dychę chłopie. Mam kupę i beaucoup forsy — beaucoup forsy!”. I wszystko przepuszczają — całe to swoje beaucoup forsy. A co oni wyrabiają z francuskimi dziewczynami! Nic dziwnego, że Francuzi są tak niechętni Amerykanom.*

Kiedy dotarliśmy do domu Louise Adams, zabraliśmy dziecko, którego Kay nie widział od października 1944 roku. To wtedy wyjechał.

— Kay — powiedziałem — musisz mieć cierpliwość do nas, cywilów. Pewnie będziemy mówić rzeczy, które cię bardzo obrażą, bo brak nam wyobraźni, żeby zrozumieć, przez co przeszedłeś.

Kay na to:

— Do diabła! Ja też chcę być cywilem. Mam dość bycia w piechocie. Chcę skończyć z wojskiem. Popatrz na mnie. Mam atrofię mięśni rąk i nóg. Ale dostałem siedemdziesiąt sześć dni przepustki w domu, a potem jadę na Florydę, gdzie umieszczą mnie w jednym z najlepszych hoteli w Miami. O, tutaj mam rezerwację w Pullmanie. A potem... cóż — co potem? Za chorobę nie wiem. Ale wiem, że chcę się wydostać z wojska. Mówię wam. Nie chcę mieć z nim do czynienia. Mam go dość. Mam po dziurki w nosie tego całego cholernego obłądu. Po dziurki w nosie!

26 stycznia 1947

Do Jane Vonnegut

Jako żona pisarza tamtej epoki, Jane Vonnegut nie tylko zajmowała się zwyczajnymi obowiązkami domowymi, ale również podejmowała się innych zadań, jakich wówczas oczekiwali od swych żon mężowie pisarze: między innymi redakcji i korekty, wysyłania maszynopisów, pełnienia funkcji pośrednika między mężem a agentami, redaktorami i wydawcami, prywatnego rzecznika, asystenta od marketingu, a zazwyczaj również maszynistki przepisującej rękopisy. Kurt zawsze szczyił się tym, że w przeciwieństwie do większości mężów pisarzy nigdy nie prosił Jane o pisanie na maszynie, co samo w sobie czyniło go w owych czasach pionierem emancypacji.

UMOWA między KURTEM VONNEGUTEM, JR.  
a JANE C. VONNEGUT, wchodząca w życie od niedzieli,  
26 stycznia 1947 r.

Ja, to znaczy Kurt Vonnegut, Jr., niniejszym przysięgam dochować wierności poniższym zobowiązaniom:

I. Uzgodniwszy, że moja żona nie będzie mnie nękać, dręczyć ani w inny sposób zawracać mi głowy w tej kwestii, obiecuję raz na tydzień szorować podłogi w łazience i w kuchni w dniu i czasie przeze mnie wybranym. Co więcej, zrobię to porządnie i starannie, przez co moja żona rozumie, że wejdę pod wannę, za sedes, pod zlew, pod lodówkę oraz w kąty, a także podniosę i przestawię w inne miejsce wszystkie ruchome przedmioty, jakie znajdują się w owym momencie na rzeczonych podłogach, w celu sprzątnięcia powierzchni pod nimi, a nie tylko dookoła nich. Ponadto, wykonując powyższe czynności, powstrzymam się od wygłaszania uwag pokroju „jasna cholera”, „niech to szlag trafi” oraz podobnych przekleństw, albowiem tego typu język może działać na nerwy, gdy nie chodzi o nic bardziej drastycznego niż stawienie czoła Konieczności. Jeżeli nie wywiążę się z niniejszej umowy, moja żona może mnie do woli nękać, dręczyć lub w inny sposób zawracać mi głowę, dopóki tak czy inaczej nie wymyję podłogi — choćbym był bardzo zajęty.

II. Ponadto przysięgam przestrzegać następujących pomniejszych przepisów:



- a) będę odwieszał ubrania, a buty chował do szafy, kiedy ich nie noszę;
- b) nie będę bez potrzeby nanosił brudu do domu za pośrednictwem metod takich jak niewycieranie butów o wycieraczkę przed domem, wychodzenie w kapciach ze śmieciami, a także innych;
- c) przedmioty w rodzaju pustych pudełek po zapalkach, pustych paczek po papierosach, kawałków kartonu umieszczonych pod kołnierzykami nowych koszul itp. będę wrzucał do śmietnika, zamiast zostawiać je na krzesłach oraz podłodze;
- d) po goleniu będę chował sprzęt do golenia z powrotem do szafki;
- e) w przypadku bycia bezpośrednim sprawcą wystąpienia po kąpieli śladu wokół wanny usunę — przy użyciu środka czyszczącego firmy Swift oraz szczotki, a nie własnego ręcznika — rzeczony ślad;
- f) uzgodniwszy, że moja żona zbiera rzeczy do prania, umieszcza je w worku, a ów worek — w widocznym miejscu w korytarzu, zobowiązuję się nosić wspomniane rzeczy do pralni nie później niż po trzech dniach od pojawienia się ich w korytarzu; ponadto przyniosę czyste rzeczy z pralni nie później niż dwa tygodnie po tym, gdy je tam zaniósłem, to znaczy te brudne;
- g) paląc papierosy, dołożę wszelkich starań, aby używaną wówczas popielniczkę umieszczać na powierzchni, która się nie przechyla, ugina, przekrzywia, opada, marszczy ani ustępuje pod najlżejszym naporem; za takowe powierzchnie należy uważać między innymi stopy książek ustawione chwiejnie na krawędzi krzesła, oparcia fotela posiadającego oparcia, a także moje własne kolana;
- h) nie będę gasił papierosów o krawędzie ani wrzucał popiołu zarówno do czerwonego skórzanego kosza na śmiecie, jak i plecionego kosza na śmiecie, który moja ukochana żona wykonała dla mnie na Boże Narodzenie 1945 roku, jako że podobna praktyka szkodzi pięknu, a w dalszej perspektywie także przydatności rzeczonych koszy;
- i) w przypadku gdy moja żona o coś mnie poprosi, a prośbę tę uznać można jedynie za rozsądną i w pełni mieszczącą

- się w zakresie zadań mężczyzny (gdy jego żona jest w ciąży, ma się rozumieć), spełnię tę prośbę w przeciągu trzech dni od jej przedłożenia. Uznaje się za zrozumiałe, że w ciągu owych trzech dni moja żona w żaden sposób nie nawiąże do tematu, oczywiście z wyjątkiem podziękowania; jeśli jednak nie wywiążę się z powinności po upływie dłuższego czasu, moja żona będzie w pełni uprawniona, aby mnie nękać, dręczyć oraz w inny sposób zawracać mi głowę, dopóki nie zmusi mnie do zrobienia tego, co miałem zrobić;
- j) wyjątkiem od reguły o trzydniowym terminie będzie wynoszenie śmieci, gdyż każdy głupiec wie, że nie powinny tyle czekać; wyniosę śmieci w ciągu trzech godzin od poinformowania mnie przez żonę o potrzebie ich wyniesienia. Byłoby jednak miło, gdybym, naocznie odnotowawszy potrzebę wyniesienia śmieci, wykonał rzeczoną czynność z własnej inicjatywy, tym samym nie zmuszając żony do poruszenia tego tematu, który znajduje ona dość niesmacznym;
- k) uważa się za zrozumiałe, iż gdybym uznał powyższe zobowiązania za zbyt nierozsądne lub godzące w moją wolność, poczynię kroki mające na celu ich modyfikację poprzez kontrpropozycję, przedstawioną konstytucyjnie i grzecznie omówioną, zamiast bezprawnego zerwania zobowiązań wskutek nagłej erupcji wulgaryzmów oraz późniejszego uporczywego lekceważenia rzeczonych powinności;
- l) przyjmuje się, iż warunki niniejszej umowy są wiążące aż do upłynięcia okresu po narodzinach naszego dziecka (określonego przez lekarza), kiedy moja żona odzyska pełnię sprawności i będzie zdolna podejmować bardziej mozolne czynności niż to obecnie wskazane.

26 kwietnia 1947  
Chicago

Do Działu Kadr w General Motors

To standardowy list, jaki Vonnegut wysłał do wielu potencjalnych pracodawców, w którym opisywał swe kwalifikacje i referencje.